

Tekst i zdjęcia: *Szymon Baron*

Three peaks, czyli trzy dni w górach Wielkiej Brytanii (część 1)

Chatteris to niewielkie, angielskie miasteczko położone 80 mil na północ od Londynu. Tam mieszkaliśmy i pracowaliśmy. W miasteczku tym niemal nigdy nic się nie działo, a co najgorsze – dookoła było płasko, kompletnie płasko. W promieniu kilkunastu kilometrów nie było nawet najmniejszego wzniesienia, nic więc dziwnego, że nam, urodzonym w Beskidach i kochającym piesze wędrówki po górskich szlakach krajobraz ten w ogóle nie odpowiadał, powodując, że w każdej wolnej chwili myśleliśmy, jak nie mając samochodu wyrwać się w odległe skądinąd góry.

Szukając różnych materiałów o górach Wielkiej Brytanii, czy to w bibliotece, czy też internecie, raz po raz przewijały się hasła „Three Peaks” oraz „Three Peaks Challenge”. Zaintrygowani postanowiliśmy sprawdzić, czymże jest to „Wyzwanie trzech szczytów” oraz o jakie szczyty chodzi. Okazało się, że tak jak my mamy Koronę Gór Polski, tak Brytyjczycy mają wspomniany challenge. Być może niezbyt precyzyjnie korespondują ze sobą te dwie korony, wszak na Wyspach chodzi o wejście na najwyższe szczyty Walii (Snowdon), Anglii (Scafell Pike) i Szkocji (Ben Nevis). Dlaczego w tym zestawie pominięta została Irlandia Północna? Kto wie, może dlatego, że Brytyjczycy podchodzą do wyzwania bardziej sportowo, niżli turystycznie, starając się zdobyć te trzy szczyty w 24 godziny.

Podchodząc do owych trzech szczytów bardziej turystycznie, aniżeli sportowo, przyjmując je za swego rodzaju motywację do wizyty w odległych górach, postanowiliśmy zdobyć je wszystkie.

16 kwietnia 2006 r. - Snowdon (1085 m n.p.m.)

Pierwsza okazja wyjazdu przytrafiła się nam dość niespodziewanie. W odwiedziny do Sławka przyjechała siostra, a on, jako dobry brat postanowił pokazać jej kawałek „ładnej” Wielkiej Brytanii. Ponieważ Fenland nie nadawał się do tego w ogóle, na myśl przyszła nam Walia – według naszej wiedzy o niebo ładniejsza od Anglii.

Ponieważ cała ta sytuacja miała miejsce parę dni przed Świętami Wielkanocnymi, w które notabene miał odbyć się ten wyjazd, na przygotowania nie zostało nam wiele czasu. Pośpiesznie, niejako zmuszony sytuacją, zapisałem się do miejscowej biblioteki, aby wypożyczyć o nieco o Walii. Udało mi się zdobyć dwa przewodniki po tej krainie oraz broszurę o Parku Narodowym Snowdonii.

Korzystając z do-
brodziejstw inter-
netu doczytaliśmy
jeszcze wiele cen-
nych informacji
o Snowdonie, szla-
kach turystycznych
w okolicy oraz
sprawdziliśmy po-
godę. Można śmia-
ło napisać, że byli-
śmy doskonale przy-
gotowani do tego
wyjazdu.

W Wielkano-
cny poranek, choć
trudno nazwać porankiem godzinę trzecią nad ranem, z jednej strony niewyspani, z drugiej pełni energii na czekającą nas przygodę, zjedliśmy tradycyjne polskie potrawy wielkanocne, tj. uprzednio ozdobione jajka oraz przepyszny, ugotowany przez Monikę, żurek. Zaspokoiliśmy nocny apetyt, tuż po piątej wyruszyliśmy w trasę.

Do pokonania mieliśmy ponad 300 km, które dzięki naszemu kierowcy – Sławkowi, przejechaliśmy szybko i sprawnie. Pogoda z początkowo deszczowej i wietrznej, wraz ze zbliżaniem się do walijskiej granicy zmieniała się w bardziej przyjemną do uprawiania turystyki górskiej.

Po raz pierwszy zatrzymaliśmy się niedaleko Wrexham, już na terytorium Walii. Chcieliśmy zobaczyć jak najwięcej atrakcji turystycznych, a taką był pobliski akwedukt – Pontcysyllte Aqueduct. Budowla ta, wznosząca się 39 metrów ponad rzekę Dee powstała nieco ponad dwieście lat temu. Największe wrażenie zrobił na nas fakt, iż szeroki na około 1,5 metra kanał w szczycie tej budowli pozwala na regularne kursy, jakże popularnych

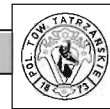
tutaj barek. Sterowanie taką barką, mając po jednej burcie niczym nie osłoniętą przepaść musi być nie lada wyczynem. Na szczęście nie dla nas były takie atrakcje, ruszyliśmy więc w dalszą drogę.

Tuż po dziesiątej wjecha-
liśmy do Snowdonii. Pomimo,
iż Góry Kambryjskie są two-
rzącym dwustukilometrowy łuk
starym masywem górskim,
zbudowanym głównie ze skał
paleozoicznych, w którym
większość szczytów nie prze-
kracza wysokości 600 m, naj-



Na dalszym planie Góry Kambryjskie - pierwszy z lewej: Snowdon

wyższy szczyt Walii – Snowdon, wznosi się na wysokość 1085 m n.p.m. Wierzchowiny i stoki górskie, niemal w całości pokryte wrzosowiskami i torfowiskami, jakże różnią się od naszych zalesionych Beskidów, lecz mimo to piękny, górzysty krajobraz tej części Gór Kambryjskich bardzo przypadł nam do gustu.



Gdy w wyniku niewielkiego błędu nawigacyjnego dojechaliśmy nad jezioro Llyn Ogwen i stanęliśmy u podnoża gór, podziwiając podbliskie szczyty Tryfan, Y Garn oraz Pen yr Ole Wen, Ania, Ola i Sławek zdecydowali, że zamiast górskiego szlaku wybiorą samochodową przejażdżkę po północno-zachodniej Walii. W związku z tą decyzją na przełęczy Pen-Y-Pass wysiedliśmy z samochodu we dwójkę, podczas gdy pozostali uczestnicy wycieczki pojechali dalej.

Z parkingu na przełęczy Pen-Y-Pass w stronę szczytu Snowdon wiodą dwa szlaki – Miners Path oraz PYG Path. Weześniejsza analiza tych szlaków na podstawie przewodników i stron internetowych skłoniła nas do wybrania bardziej malowniczej „ścieżki górników” (ang. *Miners Path*). Szlak ten powstał już w XIX wieku, jako droga dla górników pracujących w znajdujących się na stokach Snowdonu kopalniach miedzi.

W samo południe wyruszyliśmy więc na naszą pierwszą górską wycieczkę od przybycia na Wyspy Brytyjskie. Przez pierwsze kilkaset metrów szlak był dość płaski, a my podziwialiśmy dolinę Gwynany ciągnącą się po naszej lewej stronie oraz polodowcowe jezioro Llyn Twym znajdujące się kilkanaście minut od parkingu. Dość dużym zaskoczeniem była dla nas ilość turystów, którzy postanowili tego dnia wyjść na najwyższy szczyt Walii. W zasadzie nie powinniśmy się dziwić, wszak to w Londynie zawiązano pierwszą organizację turystyczną, jaką był Alpin Club, choć z drugiej strony żaden znany nam mieszkaniec Fenlandu nie pałał miłością do gór.

Spokojnym krokiem dotarliśmy nad Llyn Lydaw, nie zauważając zbyt dużej zmiany wysokości. Nad brzegiem tego jeziora, z pięknym widokiem na Snowdon, urządziliśmy pierwszy odpoczynek. Spalaszowaliśmy część przygotowanego w domu prowiantu, po czym groblą przedostaliśmy się na drugi brzeg jeziora. Po kilku minutach dotarliśmy do ruin jednego z budynków dawnej kopalni miedzi – rozdrabniałni rudy, będącej niejako wyznacznikiem końca łatwej, płaskiej ścieżki. Choć na szlaku byliśmy już niemalże półtorej godziny, pokonaliśmy zaledwie sto metrów różnicy wysokości.

Ruszyliśmy żwawym krokiem, powoli pnać się w górę. W tym miejscu „ścieżka górników” przypomina nieco podejście pod Rysy, zwłaszcza, że szlak stał się skalisty. Po kilkunastu minutach dotarliśmy nad Llyn Glaslyn, skąd widoczny był nasz pośredni cel – przełęcz pomiędzy Snowdonem a Crib y Ddysgyl. Po krótkim odpoczynku nad tym przepięknym jeziorem ruszyliśmy dalej.

Ostatni odcinek do przełęczy pokonywaliśmy wraz z grupą niepełnosprawnych. Monika, jako pedagog specjalny, była wprost zachwycona przystosowaniem brytyjskiej turystyki dla potrzeb osób niepełnosprawnych. Aż dziw bierze, że gdy chciała pisać pracę magisterską

o turystyce niepełnosprawnych, nie mogła w Krakowie znaleźć żadnego chętnego promotora. Tuż przed przełęczą natrafiliśmy na jedyny w okolicy płat śniegu, na którym część gorzej wyposażonych turystów miała niewielkie problemy.

Z tego miejsca do szczytu było już niedaleko. Na naj-

wyższym wierzchołku Walii stanęliśmy o 14:50. Nieco poniżej szczytu znajduje się górna stacja kolejki spalinowej, wywożącej turystów z Llanberis. Budynek ten za nic nie pasował nam do przepięknych widoków ze szczytu, ogarniających całą Snowdonię oraz pobliskie Morze Irlandzkie. Bliskość morza sprawiła, że dane nam było spotkać pod szczytem kilka mew – widok zupełnie obcy polskim górcom. Na szczycie zrobiliśmy sobie kilka pamiątkowych zdjęć, a ponieważ wiatr dawał nam się we znaki, wkrótce ruszyliśmy dalej.

Ponieważ nie było jeszcze późno, a wysokość mieliśmy już nabraną, przes spacerowaliśmy się jeszcze na pobliski wierzchołek Crib y Ddysgyl (1065 m n.p.m.), który niestety nie wywarł na nas takiego wrażenia, co Snowdon.

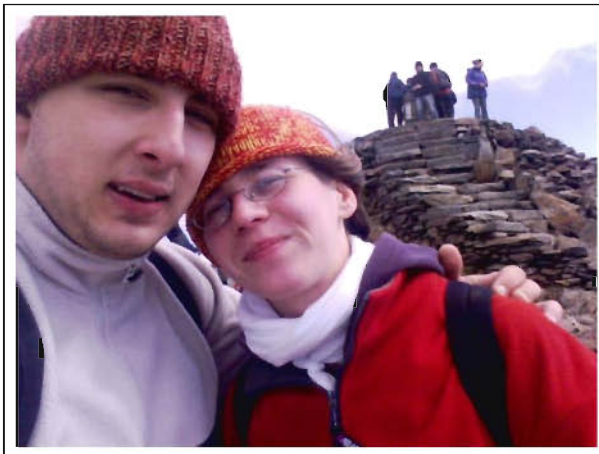
Do zejścia wybraliśmy szlak do Llanberis, biegnący niemalże wzdłuż charakterystycznego, jednoszynowego torowiska kolejki. Należy w tym miejscu zaznaczyć, że w Wielkiej Brytanii nie ma czegoś takiego, jak znakarstwo, w związku z czym, bez mapy i dobrej orientacji topograficznej można łatwo pomylić ścieżki, szczególnie w przypadku niesprzyjającej pogody.

Schodząc dziękowaliśmy Bogu, że nie musieliśmy podchodzić tym szlakiem. Niemal całe, ponad dwugodzinne, zejście brodziliśmy po kostki w błocie, modląc się, by nie wylądować na tyłkach. Co gorsza, krajobraz był bardzo monotony i gdyby nie kilka spotkanych na szlaku owiec można by napisać, że nie było nam dane zobaczyć nic interesującego. Zdecydowanie odradzamy wybór tego, skądinąd najłatwiejszego szlaku.

Do Llanberis, gdzie już czekali na nas pozostali uczestnicy tego wypadu, dotarliśmy po siedemnastej. Okazało się, że Ania, Sławek i Ola spędzili większość czasu nad Morzem Irlandzkim. Aby nasza walijska przygoda nie skończyła się na zdobyciu Snowdonu, już wszyscy razem pojechaliśmy na półwysep Holyhead, by podziwiać zachodzące słońce nad malowniczymi klifami. Był to naprawdę majestatyczny widok, idealny na zakończenie tego przyjemnego dnia.

Do Chatteris wróciliśmy nazajutrz, po spędzeniu nocy w samochodzie, czego zdecydowanie nie polecam. ■

(ciąg dalszy w następnym numerze „Co Słychać?”)



ja i Monika na szczycie Snowdonu